

# Basia

## Fragment książki Igora Janke „Twierdza. Solidarność Walcząca. Podziemna armia”

Łomot narastał. 14 grudnia 1981 roku o piątej nad ranem ZOMO wyłamało bramę wejściową do wrocławskiego Pafawagu. Weszli ławami. Rząd za rządem. Barbara patrzyła na nich zafascynowana: „Wyglądali jak szklany las. Bardzo plastycznie. Nie byłam w stanie już się bać. Szli na nas w hełmach, z tarczami, pałkami, mieli dziwne pistolety. To wyglądało nierealnie. Nie byli wcale agresywni. Kazali nam wejść do świetlicy. Powiedzieli, że kobiety mają stanąć pod ścianą”.

Barbara Sarapuk, naukowiec i programistka z Akademii Ekonomicznej, stała w pierwszym szeregu, razem z robotnikami. Od sierpnia 1980 roku zajmowała się zbieraniem informacji dla Solidarności. W tym celu chodziła do Pafawagu. Poszła tam też 13 grudnia. Był wieczór, ciemno. Zobaczyła szpalery wojska, które otaczały zakład. Wzięła informacje z Komitetu Strajkowego i chciała wyjść. Odwróciła się, popatrzyła jeszcze raz na strajkujących robotników. „Oni patrzyli na nią. Zostawali w środku, w otoczonym przez wojsko zakładzie, a ona miała wrócić do domu. Nie mogła wyjść” wspomina. Szybko zawiozła informacje na uczelnię i w ostatniej chwili przed zamknięciem bramy zdążyła przyjść z powrotem. Została z robotnikami. Nad ranem była pacyfikacja.

Wszyscy wiedzieli, że za chwilę może się zacząć szturm ZOMO. W hali na dole zebrało się kilkuset ludzi. Po drugiej stronie ogrodzenia zomowcy rytmicznie uderzali pałkami w tarcze. Barbara stanęła blisko miejsca, którą mieli wejść.

- Niech pani się schowa – powiedział do niej jakiś mężczyzna.
- Nie jestem nikim ważnym, przyszedłam tu tylko robić tłok – odpowiedziała, nie ruszając się z miejsca.
- Niech pani idzie do tyłu.
- Co będę szła, nie zostawię was.
- Nie boi się pani?
- Boję się – odpowiedziała i stała dalej.

Po dwóch godzinach wszystkie kobiety wsadzono do autobusu z napisem „Wycieczka”. Zawieziono je do aresztu niedaleko Dworca Świebodzkiego. Kazano im się ustawić w rzędach. Na zewnątrz. Na mrozie. Większość z nich nie miała ciepłych ubrań. Kobiety stały i marzły. W pewnym momencie Barbara spojrzała w górę i zobaczyła spadające na plac jakieś szmaty. Jakby leciały z nieba, jedna po drugiej. Kolejny nierealny widok tego poranka.

To pracownicy administracyjni otworzyli okno na drugim piętrze i zaczęli rzucać zmarzniętym kobietom ubrania. „Jak leciały te kurtki z góry, to mi serce urosło. Pomyślałam: «I tu są ludzie»”. Po czterech godzinach wreszcie wpuszczono je do pomieszczeń w budynku. Plac opustoszał.

Wewnątrz budynku kobiety stały w kolejce do stolika, przy którym siedział mężczyzna w cywilu. Podsuwał im do podpisania „lojalki”. Blondynka stojąca przed Barbarą Sarapuk nie podpisała. Więc i ona nie podpisała. Następne też nie. Potem było przesłuchanie.

- Czemu pani była na strajku?
- Bo protestuję przeciwko stanowi wojennemu.
- A pani była w ogóle na strajku? – pytali, jakby chcieli jej pomoc.
- Pewnie, że byłam.
- Pani chyba nie chce stąd wyjść?

– Wie pan, ja się chyba boję wyjść. Tu jest ciepło, a tam leją armatki wodne. Słyszałam, że zamordowano kogoś na ulicy.

– Zapali pani?

– Nie.

– Przecież pani pali. Nie chce pani wziąć papierosa od nas?

– Nie, od was nie wezmę.

Kiedy przesłuchanie się skończyło i przechodziła obok drzwi, esbek powiedział:

– Proszę, niech pani wychodzi.

Wypuścili ją na wolność. Zatkaną ją kompletnie.

Prawdopodobnie SB zwolniła ją dzięki interwencji jej męża, który należał do partii i był dziekanem na uczelni. Człowieka, z którym właśnie się rozwiodła. Wróciła na uczelnię; wszyscy tam od rana wiedzieli, że została aresztowana. Koleżanka opowiedziała jej: „Od rana było wiadomo, że siedzisz, ale twój mąż przyszedł dopiero w południe i zaczęli z niego kpić: «Jak pan się czuje? Na czerwono?». On odpowiedział: «Na różowo się czuję, nie na czerwono». Powiedzieli mu wtedy, że siedzisz. I wtedy zrobił się na czerwono”.

Niemal natychmiast zgłosili się do niej Leszek Wierzejski i Andrzej Oryński, którzy wówczas już wydawali podziemne „Wiadomości Bieżące”. Poprosili ją o pomoc. Włączyła się od razu do druku i kolportażu. Wkrótce stworzyła wielką sieć podziemnych drukarni i system szkoleń dla tych, którzy chcieli produkować podziemne gazetki.

Pierwszy wałek drukarski był bardzo ciężki. Podnoszenie go kosztowało ją dużo wysiłku. A trzeba go było ciągle podnosić i opuszczać, podnosić i opuszczać... Wtedy, w grudniu, robili ulotki. Później Basia rozwoziła je samochodem i rozrzucała na mieście. Praca z tym wałkiem była bardzo trudna. Biegała potem po znajomych, rozdawała ulotki i wszędzie rozpowiadała, że potrzebny jest sprzęt do druku, a zwłaszcza dobry wałek. I w końcu pewien profesor zrobił jej wałek na łożyskach. „To był wałek-cudo. Potem zrobił jeszcze trzy takie wałki. Mogłam już sama drukować, bo wcześniej był mi potrzebny jeszcze ktoś do pomocy” – opowiada.

Kolejne osoby przynosiły Barbarze wałki, farby, papier. Ten pierwszy ciężki wałek zachowała jako zapasowy. Powstały pierwsze drukarnie, którymi zarządzała.

„Pierwszą drukarnię nazwałam drukarnią Kliwii. W akademiku na Kasprowicza mieszkał chłopak, który był kierownikiem grupy. Był bardzo odważny. Potrafił całą produkcję – trzy, cztery tysiące sztuk gazet – zapakować do plecaka ze stelażem. To było bardzo ciężkie, a on ruszał z tym na miasto. Miał żonę i dziecko. Klisze naświetlał w ubikacji, która nigdy nie była zamykana. Mógł łatwo wpaść, ale nigdy tak się nie stało. Mieli dobrych kolegów. Żyli, jakby wokół nic złego się nie działo. Tam nie było strachu, on zawsze był zrelaksowany”.

Zaczynała drukować na białku [technika druku]. Potem uczyła się od plastyków techniki sitodruku. Początki były trudne, ale poświęciła wiele godzin na eksperymenty i doskonalenie tej metody. Długo uczyła się, jak robić, by klisze były ostre, by druk był dobry. „Nauczyłam się wtedy też pokory – trzeba było dużo pracować, by osiągnąć dobry efekt” – wspomina.

(...)

Mierzyła się nieustannie z własnymi słabościami. Uczyła się zachowania na wypadek trudnych chwil: robić i mówić rzeczy, których nie potrafiła. Na przykład, żeby mówić ludziom przykre rzeczy. Powtarzała sobie, jak ma mówić przykre rzeczy ubekom, kiedy będą ją przesłuchiwać. Wyobrażała sobie takie rozmowy i powtarzała wszystkie przykre słowa.

Pomyślała, że powinna też nauczyć się na przykład kogoś kopnąć. „Rano się budziłam i myślałam, że przez godzinę będę kopać jakiegoś ubeka w piszczel. Wiedziałam, że muszę nauczyć wyłączyć swoją świadomość i nauczyć się robić takie rzeczy”.

Barbara Sarapuk uchodzi wśród znajomych za niezwykle wrażliwą osobę. Musiała się rzeczywiście przełamywać, by nauczyć się agresywnego zachowania.

Ciągle dążyła do poprawienia jakości druku. Wśród drukarzy Solidarności Walczącej obowiązywało hasło: „Konspiracja to nie komunizm – trudności obiektywne nie są wytłumaczeniem dla pogorszenia jakości”.

Szukała ludzi i szkoliła ich, wprowadzała w technikę pracy i zachowania się w konspiracji. Tłumaczyła, żeby nie nosić notesów, nie trzymać w domu książek telefonicznych z podkreślonymi nazwiskami, niczego nie zapisywać. Dla swoich drukarzy chciała być buforem przed esbecją, roztoczyć nad nimi parasol ochronny.

Każdemu, kogo wyprowadzała na szerokie wody, mówiła, że jak wpadnie, to ma ją wsypać. Chciała, żeby mieli taką furtkę. „Spróbuj wytrzymać, ale jeśli nie dasz już rady, to podaj moje nazwisko” – mówiła młodym chłopakom. Chciała, by czuli się chociaż trochę bezpieczniej. „Młodych chłopaków traktowali wtedy strasznie. Kobiecie w średnim wieku niewiele mogli zrobić. Ich mogli skatować, a mnie krzywdy by nie zrobili”.

W latach 1987-1988 Wiszniewski i Sarapuk byli pod ścisłą obserwacją SB. Drukowali i organizowali kolportaż; bardzo przy tym uważali, żeby nikt przez nich nie wpadł. Używali skanerów do podsłuchów, spotykali się w okolicach, gdzie łatwo było kluczyć w razie konieczności ucieczki. Ulice: Żeromskiego, Jedności Narodowej, Barlickiego – zabudowa jest tam zwarta, dużo przechodnich bram. Można przechodzić kwaterami, nie wychodząc na ulice. Te przechodnie bramy i podwórka bardzo ułatwiały życie działaczom wrocławskiego podziemia.

Sarapuk z Wiszniewskim uprawiali swoistą ekwilibrystykę. Wiedzieli, że są śledzeni, mimo to musieli drukować i prowadzić kolportaż, i robić to tak, aby nie złapano ani ich, ani ich współpracowników.

Z odbiorcami umawiali się w bramach. Czasem brali ze sobą na przynętę torbę wypchaną bezwartościowymi papierzyskami. Bibułę trzymali ukrytą za pazuchą. Jedno z nich wchodziło do bramy, czekało pięć minut i wychodziło bez torby. Miało to wyglądać tak, jakby w bramie została torba z bibułą. Esbecy biegli do bramy, żeby złapać na gorącym uczynku odbiorcę bibuły. A Bogdan i Barbara, z właściwą paczką ukrytą pod kurtką, nie niepokojeni przez nikogo przechodzili przez kilka bram i szli do właściwego odbiorcy.

Drukowali nie tylko pisma SW, ale też na przykład „Świt” – gazetkę zakładów MPK. 17 kwietnia 1988 roku wydrukowali w mieszkaniu Barbary kolejny numer „Świtu”. Bogdan wiedział, że jest obserwowany, ale musiał dostarczyć towar do odbiorców.

Kiedy wychodził z bloku przy ulicy Kruszwickiej, zobaczył młodego człowieka, który zbiegał po schodach w jego kierunku. Poczuł ciarki na plecach, ale mężczyzna przeszedł obok. Wychodząc z klatki, prawie wpadł na esbeków stojących w drzwiach. Miał ze sobą torbę wypchaną po brzegi bibułą. Pomyślał, że już po nim. Spojrzał na nich, oni na niego. Nie było wątpliwości: obie strony się rozpoznały. Wiszniewski ruszył prosto na mężczyzn, myśląc, że jego jedyną szansą jest próba szarpaniny i ucieczka. Tymczasem esbecy rozstąpili się i przepuścili go. Zbaraniał, ale poszedł dalej. Gdy zniknął im z oczu, ruszył biegiem do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił do Barbary, żeby ją ostrzec, że SB pewnie idzie do niej. Nie odebrała – esbecy byli już w środku. Chwilę wcześniej walili do drzwi jej mieszkania, a ona, krzycząc, że musi się ubrać, niszczyła tajne materiały – zorientowała się, co się święci. Na półce stało radio Julia, przebudowane przez specjalistów SW na skaner.

Tego dnia rano z Bogdanem drukowali bibułę. Drukarze wiedzieli, że SB ma ich na oku, więc podczas pracy słuchali skanera, żeby w razie czego zdążyć zwinąć sprzęt i uciec przed esbeckim nalotem. Ponieważ w eterze była cisza, po pracy zapomnieli wyłączyć urządzenie.

Esbecy zaczęli rewizję. Chwilę po ich wejściu zadzwonił telefon: „O, dzwoni na pewno Wiszniewski, żeby panią ostrzec” – powiedział jeden z nich. Sarapuk roześmiała się. Nie pozwolili jej odebrać. Faktycznie, to z budki dzwonił Bogdan zaniepokojony spotkaniem esbeków na klatce schodowej. Dlaczego go wówczas nie zatrzymali? Nie wiadomo. Zapewne mieli nakaz wejścia do mieszkania, a nie aresztowania ludzi na ulicy, i po prostu co do joty wykonywali rozkazy. Rewizja trwała dalej. Nagle esbecy usłyszeli dobiegające ze stojącego obok „radia” komunikaty nadawane przez ich kolegów. Spojrzeli po sobie i zorientowali się: „Kurwa, słuchają nas!”. Po rewizji zabrali Barbarę do aresztu.

Przed wyjściem z mieszkania oświadczyła, że ma w domu świnkę morską i bez niej się nie ruszy, bo nikt pod jej nieobecność nie nakarmi zwierzątka. Funkcjonariusze pozwolili jej zabrać świnkę ze sobą. Obie spędziły czterdzieści osiem godzin w areszcie przy placu Muzealnym. Była to pierwsza aresztowana świnka morska w historii PRL. Nie pozwolono jednak Barbarze zabrać zwierzątka do celi. Świnka spędziła czas swojej „niewoli” w pomieszczeniach służbowych SB. Po dwóch dniach Barbara, kiedy wychodziła, warknęła do esbeków:

– A gdzie świnka?! Zatlukliście ją?

– Nie, nie, jest tutaj. Karmiliśmy ją. Kolega nawet sałatę jej przyniósł.

Służba Bezpieczeństwa zatroszczyła się o świnkę. Zwierzę to zostało zresztą jeszcze raz aresztowane kilka miesięcy później. Barbarę skazano wtedy na grzywnę, zarekwirowano jej sprzęt fotograficzny i czeską skodę – samochód, którym przewoziła bibułę.

Barbara Sarapuk i Bogdan Wiszniewski przeprowadzili około stu szkoleń dla drukarzy. Większość z nich prowadziła potem swoje drukarnie i szkoliła następnych. Każda z przeszkolonych osób mogła założyć własną drukarnię.

Powstała armia ludzi, którzy byli w stanie samodzielnie drukować podziemne pisma. Barbara Sarapuk sama drukowała bardzo wiele gazet. Szef Solidarności Walczącej nazwał ją „Królową Druku”, bo skupieni wokół niej albo wyszkoleni przez nią młodzi ludzie produkowali zapewne około połowy podziemnych pism wychodzących we Wrocławiu. Ktoś policzył, że własnoręcznie wydrukowała około trzystu tysięcy egzemplarzy gazetek.

Kornel Morawiecki: „Kiedyś chcieliśmy podsumować, ile drukarni i gazetek powstało, ilu ludzi weszło do druku w wyniku szkoleń Basi Sarapuk. To była prawdziwa lawina”.

Profesor Jerzy Przystawa napisał: „Kiedy ogłoszono stan wojenny, Barbara Sarapuk natychmiast przystąpiła do podziemnej roboty, oddając wrocławskiemu podziemiu usługi najzupełniej unikalne i chyba nieporównywalne z nikim innym. Opanowała technikę drukarską i niestrudzenie, z najwyższą ofiarnością, drukowała niezliczone pisma podziemne Wrocławia: «Z Dnia na Dzień», «Solidarność Walczącą», «Jutrzenkę», «Obecność», «Replikę», «Biuletyn Dolnośląski», «Wiadomości Bieżące», «Świt» – ona sama już nie pamięta, co jeszcze. Drukowała, rozwoziła, kolportowała, ukrywała, karmiła. Nikt, kto to widział, nigdy nie zapomni rąk Barbary, czarnych od farby drukarskiej, niepoddających się żadnym manikiurom. Podobny wygląd przedstawiało jej mieszkanie, na wysokim piętrze wrocławskiego wieżowca”.

„Dlaczego to robiłam? Chodziło mi o Polskę, o niepodległość. O niepodległość – od początku to pisaliśmy w gazetkach. Kiedy szłam do aresztu, facet, który mnie przyjmował, mówił: «Co pani myśli, że pani głową mur rozbije?». Powiedziałam mu: «Jak będzie milion uderzeń, to w końcu się rozwali. Może ten milionowy raz to moja głowa uderzy i wtedy się rozwali. To jest tylko kwestia kiedy»”.